



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u Dr. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
gr. 20.

Kobiety nasze wobec pedagogiki

PRZEZ

Floryana Łagowskiego.

Nadejdzie niezawodnie kiedyś epoka, w której ludzie swietlejsi w społeczeństwie naszym nie będą mogli wyjść ze zdumienia: dlaczego nauki zajmujące się wychowaniem człowieka tak były zaniedbane u nas w ogólności; dlaczego kobiety w szczególności zachowywały się względem tych nauk obojętnie?

Kobiety nasze dzisiejsze bezwątpienia poczuwają się do obowiązku w tym kierunku i w ogóle pragną nauki; pola działalności szerszej, pragną często gorączkowo, nawet działają gorączkowo. Kto się im przygląda, ten widzi, że wiele z nich nie zadawała się swojemu położeniu; dręczą się one myślą, że pożytku nie przynoszą, że marnują swoje zdolności.

Pisząc to ku czci kobiet dzisiejszych nie taję wcale przed sobą, ani przed czytelnikiem, że wśród tych dodatnich stron jest niemało i ujemnych. Wiem, że ze znikaniem starych wad, i starych cnót znika niemało; że wiele z tych kobiet wzrusza się na to, aby hałasować tylko, a nie działać rozsądnie; że mnoży się coraz więcej takich, które samodzielnnością nazywają samowolę, gardzącą formami zapobiegającymi nadużyciom; że pochłaniają artykuły pism, które schlebiają ich próżności nowomodnej przez podnoszenie ich zalet nieocenionych, praw do znaczenia w świecie, do

szczęścia, przez uzalanie się nad ich niewolą i t. p. Wiem, że pochłaniają szczególnie książki drażniące ich wyobraźnię, wywracające dotychczasowy porządek rzeczy, bez względu nawet, czy je rozumieją, czy nie; że z ironią spoglądają na tych, którzy w przeszłości umieli się dopatrywać wielkich czynów, zasług, zasad, doświadczeń mądrych zdobytych wiekami; że się oburzają na tych, co z nimi razem nie biją czołem przed apostołami wszelkich nowości, a choćby przed szarlatanami wywieszającymi na swym sztandarze święte imię postępu. Wiem — zatem, że obok nowych zalet — rodzi się niemało nowych zbroceń. To też nie uświadczać te zboczenia pragnąłem, ale podnieść tu chciałem tylko ten fakt pocieszający, że bądź-co-bądź — jakiś prąd żywotny powiał na nasze kobiety, że żądają pracy, nauki — działalności. Czy jednak kierunek prac naukowych, jakim się poświęcają najczęściej, zgadza się z dewizą, którą często wygłaszają, czy zgadza się z praktycznością, z pożytkiem społecznym? — o tem pozwolę sobie nieco wątpić.

Patrząc w życie i jego objawy widzę w kobiecie dzisiejszej popęd rozbudzony do nauk przyrodzonych, filozoficznych, społecznych, — ku sztuce i t. p.

Gdyby tu chodziło o wykształcenie ogólne, o przygotowanie się do innych gałęzi wiedzy i działalności, któreby w praktyce życiowej zastosować się dały, lub o zaspokojenie upodobań, nie miałbym nic przeciwko temu; ale często słyszę, jakoby to specjalnością w życiu być miało, lub na wszelkie potrzeby wystarczyło do spełniania wszystkich obowiązków, jakie na kobiecie ciąży, służyło.

Wobec tego zaznaczyć muszę, iż wątpię, i bardzo wątpię, o skuteczności wyników, do jakich dążności takie doprowadzić-by mogły.

Do mistrzostwa w sztuce uprzywilejowani

dojść tylko mogą; do spełniania obowiązków wszystkich nauki powyższe wprost nie prowadzą, a specjalistek w nich zbyt trudno się spodziewać. Przyczyną tego główną zapewne jest ta okoliczność, że nie ma u nas zakładów naukowych wyższych, jak uniwersytetów, akademii, szkół specjalnych, któreby takie pracowniczki darzyły patentami, albo przynajmniej dawały rękojmią, że istotnie na specjalistki się wykształciły. Wychodzi też stąd taki rezultat, że pracowniczki podobne, albo przesuwają się od jednej do drugiej gałęzi nauki, stosownie do sposobności lub pociągu, albo opuszczają ręce, przekonawszy się, że w praktyce życiowej niewiele z tego korzystać mogą, lub, że do szczytu danego przedmiotu dojść nie mają sposobności. Wreszcie przekonują się, że, gdyby nawet doszły do niepospolitej doskonałości w danym przedmiocie, to pole dla działalności swej odpowiednie z powodu współzawodnictwa z mężczyznami — nielatwo zdobyć. Stąd zawody, zwątpienie, niesmak, gorzyc. I im źle, i z nimi źle! Zaznaczając to — nie myślę wcale walczyć, ani przeciw tym naukom, ani z ideą emancypacji. Owszem, całą duszą życzę kobietom, aby zdobyły sobie prawa, otworzyły sobie drogi, z którymi i im-by było dobrze i z nimi byłoby dobrze. Ja tylko zaznaczam, że dotąd w tych wszystkich dążnościach nie widzę jasno określonych celów, ani dróg do nich prowadzących.

Pragnę też właśnie zwrócić uwagę ludzi myślących, i piszących o kwestyi emancypacji, czy pracy kobiet, aby pozostawili cześć ogólniki na stronie, a zwrócili się do traktowania kwestyi ze strony praktycznej i poddawali właśnie owe cele i środki.

Zapewne, znajdują się tacy, co niejednen cel praktyczny wytknąć zdołają; ja spróbuję obecnie wytknąć z nich tylko jeden — a tym jest nauka wychowania, czyli pedagogika. Jak się

KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie).

ustosunkuje praca kobiet w przyszłości, przesądzać nie chcę, ale jeśli chcą dzisiaj działać — toć mam prawo je zapytać: dlaczego kobiety obojętnie pomijają pole, na którym, i największą korzyść społeczeństwu przynieść mogą, i pragnieniu nauki zadosyć uczynić; dlaczego pomijają to pole, które z porządku naturalnego one właśnie uprawiać powinny: dlaczego rwą się do tego, czego osiągnąć nie mogą, a nie starają się nauczyć dobrze tego, co każda prawie z nich robi, robić musi? Proszę mi wykazać: jaki procent kobiet nie zajmuje się wychowaniem? Ileż jest matek, sióstr obowiązanych czuwać nad wychowaniem rodzeństwa, ileż nauczycielek? A wobec tego — proszę wykazać, ile u siebie mamy pism traktujących specjalnie kwestyą wychowania, ile kobiet piszących o tej kwestyi, ile zakładów naukowych, w których się przysposabiają wychowawczynie, lub w którychby chociaż tylko jako jeden z przedmiotów, naukę wychowania wykładano? a jeżeli się ją wykładają, ile kobiet uczęszcza na te wykłady i chętnie z nich korzysta?

Gdzieindziej — na dziesiątki liczyć można pisma pedagogiczne, na setki najróżnorodniejsze podręczniki i pomoce naukowe. Co rok czytamy o zjazdach i naradach wychowawców, o zakładaniu muzeów pedagogicznych, seminariów. U nas — jedno jedyne pismo. *Przegląd pedagogiczny*, już dogorywa, miesiącami całymi nie ukazuje się z powodu braku prenumeratorów; *Rocznik pedagogiczny* zaledwie co parę lat nieśmiało wychyla głowę, a i to cały prawie nakład leży nietknięty na półkach księgarskich. Jedna *Encyklopedia Wychowawcza*, wspierana dobrą wolą wydawców, zwolna się ukazuje i wróży, że *kiedyś, za lat dziesiątki*, po skończeniu, będzie znakomitą pomocą w ręku wychowawców. Zaledwie parę dzieł, tłumaczonych z obcych języków, przedstawia cały zasób wiadomości pedagogicznych, a dotąd historii wychowania nie mamy, choćby nawet tłumaczonej, i brniemy w starych błędach nie wiedząc o tem, że robimy jeszcze to i tak, czego i jak od wieków już gdzieindziej nie robią. Zaledwie parę podręczników, i to bardzo ubogich, traktuje o początkowym wychowaniu, a o podręcznikach udoskonalonych, choćby do nauki języka własnego, o pomocach naukowych — mowy nawet nie ma. Piszących w kwestyach wychowania na palcach zliczyć-by można, a pomiędzy nimi parę zaledwie kobiet się spotyka, zajmujących się zaś poważnie pedagogią jako nauką, parę osób zaledwie dałoby się wykazać. O seminariach, muzeach nie słysząc, a wykłady pedagogiki po szkołach albo wcale się nie praktykują, albo zlekka są dotykane, a i tak jeszcze niewielu znajduje słuchaczy.

Możeby kto sądził, że literatura zagraniczna wspiera nas swojemi zasobami: myliłby się bardzo; nasze księgarnie — chyba wypadkowo dla pojedynczych osób lub redakcyi sprowadzały lub sprowadzają płody tej literatury, a całe lata w ich księgach nie spotykamy wzmianki nawet o prenumeracie książek lub pism wychowawczych.

I dlaczego nasze kobiety niechętnie lub obojętnie na naukę pedagogiki spoglądają?

Często daje się słyszeć odpowiedź na to pytanie, że nauka wychowania nie przedstawia zajęcia, jako nudna. Jakto? więc ciekawsze są nauki przyrodnicze, traktujące o życiu zwierząt lub roślin, a nauka roztaczająca przed nami warunki bytu fizycznego i duchowego człowieka — mniej ciekawa? Boć przecież nauka wychowania bez fizjologii, psychologii, etyki, estetyki, logiki, dyalektyki obejść się nie może. Powiadają, że sama czynność wychowawcy mozolna, ciężka. Zapewne wszystko może być takiem, każda praca, jeśli jej towarzyszą okoliczności niesprzyjające, jak przeciążenie, nieudolność działającego, nieumiejętność, wyjątkowa oporność materiału.

(Dokończenie nastąpi)

Baron nic nie miał przeciwko niej, ale pocichu ubolewał, że była — bardzo brudną. Powiedział to poufnie na ucho Emilowi.

Zresztą, dla zdrowia żony, głosował za tem, aby się udać na południe; a Paczusi także miał wielką do Włoch ochotę, tylko matka mu się w tę podróż straszną wybrać nie dozwalała, marząc zawsze o bandytach, o mordach na kolei — a nawet o trzęsieniach ziemi.

W tych wszystkich rozprawach u stołu pani Michalina prawie nie miała udziału, spoglądała czasem na Wierzbietę, słuchała cierpliwie, nie okazywała ochoty ani się przeciwować, ani potwierdzać — tak jej to było obojętnem. Najwięcej mówił i czynnym był Paczusi, któremu baron wina dolewał i pod wpływem jego humoru sam znacznie się ożywił.

Obiad wykwinął przeciągnął się bardzo długo, a po nim, gdy Emil i baron poszli na cygara, którego Wojtek odmówił — został sam z panią domu.

— Zobaczysz się pan zapewne wkrótce z panem Sylwanem — odezwała się do niego: staraj się rozbudzić go, zachęcić do zajęcia jakiego, do czynnego życia. Szkoda-by było, żeby człowiek tak zdolny miał marnie w ostrygnięciu i zwątpieniu, zamrzeć — dla siebie i drugich. Mężtwo potrzebuje życie każde. Nam, kobietom, gdy go zabraknie, łatwiej to przebaczone; wam nie darowane, gdy się zrzekacie walki.

— Sądzę, że i paniom taksamo-by należało obowiązek ten walki wpoić — odezwał się Wierzbietą.

— Nie powinien uciekać od ludzi. Niema nic bardziej zabijającego nad osamotnienie — dodała. Człowiek, co się odosabnia ze zniechęcenia do życia, wydaje mi się czemś podobnem do zamurowanego w celi zakonnika. Jeśli człowiek dla siebie żyć nie chce, nie może, to powinien żyć dla drugich, bo zawsze użytecznym im być potrafi. Wpłyn pan na niego.

Mówili o tem długo, aż Wojtek, zabawiwszy do wieczora — przejęty widokiem Michaliny, zasmucony nim, niewiele pocieszony bliższem poznaniem barona, odjechał do domu.

Z dnia na dzień, niespokojny, czekał tu i czekał napróżno, listu, wieści głosu, odezwania się jakiegoś od Sylwana. Nie nadchodziło nic.

Pisma adressowane do Rusinowego Dworu, wkońcu powracając już zaczęły — co dowodziło, że się tam nie znajdował i że nie wiadziło, gdzie go szukać.

Zniecierpliwiony do najwyższego stopnia, Wojtek, niemogąc sam jechać, bo go żona puścić nie chciała, polecił komuś znajomemu, aby się na miejscu o Horpińskiego dowiedział. Na odpowiedź czekał dosyć długo, a przyszła wcale niezaspakajająca. Rusinowy Dwór był sprzedany zabezpieczen — dawny dziedzic ledwie się tu ukazawszy, zniknął — i nikt nie wiedział dokąd się udał. Przyjaciele Wojtki, któremu powierzonym było dowiedzenie się o Sylwana, znał go osobicie i zaręczał, że ani w Warszawie się nie pokazał, ani o nim ktokolwiekby wiedział.

Wpadł jak w wodę.

Wojtek oczekiwał ciągle — ale napróżno. Dwa razy listem zapytywała go pani Michalina o Horpińskiego i — musiał naostatek przyznać się przed nią, że poszukiwania były nadaremne — że on nawet, do którego-by Sylwan powinien się być zgłosić koniecznie — nie a nie o nim nie wiedział.

Baronowstwo na zimę wyjechali: naprzód do Warszawy — było to ustępstwo dla żony, potem do Wiednia, a w Zaborowie pozostał tylko rządcą Niemiec, trochę mówiący złą polszczyzną. Od tego Wierzbietą się dowiadywał później, iż baronowstwo byli we Włoszech, że pani ciągle chorowała, że w kraju nie można się ich było rychło spodziewać.

Po roku Wojtek odebrał list z Sorrento od Michaliny, krótki, dziwny, z prostem pozdrowieniem tylko. Nie było w nim pytania: wzmianki o nikim nie — a jednak Wierzbietą w odpowiedzi czuł się obowiązany dodać, że dotąd nie odebrał żadnej o przyjacielu wiadomości.

Nastąpiło milczenie.

Wierzbietą nie mógł teraz myśleć nawet o Sylwanie: taką trwogą przejmowało go wspomnienie o nim. Lękał się samobójstwa.

W okolicy, u Nitosławskich, nie było o nim najmniejszej wiadomości, nie pokazał się tam wcale.

Tak kilka długich lat upłynęło, a Wierzbietą coraz rzadziej już przypominał sobie przyjaciela — nie mogąc o nim nawet z żoną pomówić, gdyż Terenia, jak go nie lubiła od pierwszego wejrzenia, tak i teraz wspomnienia jego znosić nie mogła. W Zaborowie przez lata te nie było nikogo — baronowstwo mieli przemieszkować na przemiany w Wiedniu lub we Włoszech. Pani Michalina przysłała bilet z powinszowaniem nowego roku, jakby powiedzieć tylko chciała: „Żyję jeszcze“.

Przeciąg ten czasu w powolnym Wojtku wielkie sprowadził modyfikacje obyczaju. W domu stał się sługą żony i dzieci, nie wyjeżdżał nigdzie, było mu z tem dobrze. Ciało i umysł ociężały znacznie; zajmował się coraz mniej gospodarstwem, a coraz więcej odpoczywał.

Przyszło do tego, iż Terenia nawet, raz w tydzień przychodzącą, pocztę pierwszą odbierała, a często czytać listy i odpowiadać na nie musiała.

W oknie siedząc lub pod piecem, Wierzbietą część znaczną dnia spędzał na dumaniach. Sympiał też we dnie. Raz, gdy w Sobotę pocztę przywieziono, żona mu przyniosła list otwarty.

— Nie rozumiem — rzekła podając mu go. — Od kogo! co to znaczy? chyba ty odgadniesz.

Na nieforemnym kawałku papieru stały niezręcznie i jakby ręką niepewną nakreślone wyrazy.

— Chciałbym się raz jeszcze widzieć z tobą — pożegnać. Słabość to — ale ostatnia. Jeżeli możesz, przyjeżdż.

Poniżej nakreślona była skazówka, od kogo w Humanu miał się dowiedzieć Wojtek o Parienowy Chutor. List nie miał podpisu, ale go nie potrzebował. Wierzbietą, acz zmienioną, poznał rękę przyjaciela. Żona się niemal nastraszyła, widząc jak się porwał nagle i żywo zaczął wołać, nie pytając jej o pozwolenie — że natychmiast jechać musi, aby mu wszystko do podróży gotowano.

Przyszło nawet z tego powodu, po raz pierwszy oddawna, do żywego sporu pomiędzy małżeństwem, bo Terenia była podróżą przeciwną, a Wojtek ani sobie o tem mówić dawał. Rozumie się, iż nastąpiło przeproszenie i pojednanie — ale Wierzbietą, obiecawszy powrót rychły, wyjechał.

Ile go kosztowało nagle wyrzec się tego błogiego spokoju, w którym wegetował przez lat kilka tak szczęśliwie — każdy to zrozumie.

Wieczorem dnia jednego jesienno dostawszy się do Humanu, tu się dowiedział, iż Chutor, którego szukał, o parę tych słusznych mil Ukrainskich był odległy. Dopiero więc nazajutrz do dnia z przewodnikiem ruszył niespokojny — rozpatrując się w kraju obcym sobie, dziwnym, pu-

stynnym, który na nim smutne czynił wrażenie.

Bryczka się spuszczała w wawóz, który latem i na wiosnę mógł być pięknym, lecz teraz najeżony był suchemi zaroślami, badiłami i resztami bujnej, obumarłej roślinności.

Przyparta do ściany wawozu prawie, stała zagroda i chata; przewodnik ją wskazał ręką.

Na przyźbie siedział stary parobek z młodym chłopakiem, we drzwiach przygarbiona, zeschła stała baba — stary typ czarownicy, z czerwonymi oczyma i wywróconemi powiekami, z twarzą ponurą i groźną.

Wszyscy zdawali się zdziwieni mocno, że tu ktoś obcy mógł zajechać; stary parobek wstał, podchodząc do bryczki, jakby ją chciał odprawić.

Wojtek zapytał o Sylwana. Spojrzeli po sobie, wahając się z odpowiedzią. Wtem do małego okna chaty z wnętrza zapukano i młody chłopak dał znać parobkowi o czemś na ucho, a ten wskazał na drzwi chaty. Wojtek szedł z sercem bijącym.

Dworek, lepianka, chata, podobną była do wielu innych, jakie po drodze Wierzbietę spotykał; nie różniła się niczem od nich. Wnętrze było biedne. Przez napół już otwarte drzwi z bijącym sercem wsunął się Wojtek. Naprzeciw niego stał — w zgrzebnej bieliźnie, z brodą zapuszczoną, z włosami posiwiałym spadającym na ramiona, wynędzniały, żółty, opalony człowiek, w którym tylko mógł poznać Sylwana.

Wydawał się zdziwiałym zupełnie, a wzrok spod nawisłych powiek strzelał wyrazem niemal obłąkanym.

Uścisknęli się, milcząc, bo Wierzbietę zabrakło na ustach wyrazu, tak go ten stan przyjaciela przeraził. Sylwan, którego turkot bryczki z łoża nędznego wstać zmusił, chwiał się już na nogach i padł natychmiast na ten swój barłóg znówu.

W piersiach jego słychać było warczenie, które kaszlem gwałtownym wybuchnęło.

Był to żywy szkielet człowieka, który dobijał już do portu — do końca.

Nie mogąc jeszcze przemówić, Horpiński ręką wskazał na swoją izbę — i twarzy nadał wyraz ironiczny.

— Godziło się to! — przerwał Wierzbietę z wymówką. — Zaprawdę niedarowana rzecz takie zmarnowanie życia! Sylwanie — nie chcę ci czynić wymówek, aleś przyjaciół napoił niewymowną boleścią.

Zamiast odpowiedzi Horpiński zakaszał się mocno. Chwycił oburącz za łożko i przez czas jakiś mówić nie mógł, aż gdy się uspokoił. Powiódł oczyma dokoła i zaczął zmęczonym głosem:

— Nie czyni mi wymówek; ja sam sobie dosyć ich wśród tej samotności czyniłem — zapóźno. Położenie moje, gdy je poznał, zniechęciło mnie do życia. Wprawdzie z większą energią mogłem pójść stąd precz, w kraj obcy, stworzyć sobie nową rodzinę, przyswoić ojczyznę, stać się kolonistą, który poza sobą zatarł tropy....

Tego nie byłem w stanie wymóżyć na sobie: całą siłą krwi przywiązany byłem do tej ziemi, od której zimny rozum oderwać mnie nie mógł. W tem leży słowo zagadki. Kochałem moje strony bezrozumnie, dziecinnie, namiętnie, a w nich miejsca dla mnie nie było.

Wolałem wygnanie w tym wawozie, na tych stepach swoich, niż czynne życie wśród cudzego kraju, pod nie-mojem niebem.

— Przecież wiesz — przerwał Wierzbietę — bo ci doniosłem o tem, iż twoje położenie, skutkiem cudownie odszukanych dokumentów, wyjaśniło się. Nitosławscy nie sprzeciwili się uznaniu małżeństwa ojca twojego, przyznali ci swoje nazwisko.

Słuchając tych słów, Sylwan zwolna podnosił głowę, usta mu się z podziwienia otwały, oczy osłupiały wlepił w Wierzbietę i krzyknął rozpaczliwym głosem:

— Człowiecze! ja nie wiem o niczem, ja nie wiedziałem o tem!

Wierzbietę załamał ręce.

— Doszła mnie wiadomość o wyjściu za mąż Michaliny — mówił dalej Sylwan — zerwałem natychmiast wszystkie stosunki. Listy wrzucałem

w ogień. Sprzedałem Rusinowy Dwór, wyniosłem się tutaj! Więc Nitosławscy!... ale to być nie może!

— Znaleźli się jaknajszlachetniej — dodał Wojtek. — Sam o tem mówiłem z nimi. Metryka ślubu i metryka urodzenia twego zostały wydobyte i przyznane.

Sylwan drżał, słuchając, jakgdyby nagle strach go objął.

Milczeli obaj. Co się w duszy biednego męczennika działo — odgadnąć było trudno; rozburzony był przez chwilę, i jakby niedowierzający. potem ostygł i oprzytomniał. Zadumał się. Uspokojony zwolna, pochylił się na łożo i zapragnął spocząć trochę. Wojtek podszedł, aby mu pomógł; przyniósł wody. Stara Tatiana pokazała się we drzwiach; spojrzała na Sylwana, głową potrząsając, i zbliżywszy się do gościa spytała go: czyby się czem posiłnić nie chciał?

— Zrób mi herbaty, jeżeli masz w czem — rzekł Wojtek cicho.

Stara wyszła. Sylwan leżał z oczyma otwartymi długo, zamyślony i pogrążony w sobie. Odwrócił głowę do Wierzbietę.

— Szczęśliwa ona? — zapytał.

Zapytany ruszył ramionami.

— Wysła za mąż — rzekł — aby ostatnią godzinę osłodzić matce, która lękała się ją samą zostawić na świecie i tegoż dnia wieczorem umarła. Mąż jest lalką łagodną, ale płochą; tyranem być nie potrafi, a szacunku i przywiązania nie zyszcze, bo ich nie wart.

Gdy stara Tatiana krzątać się poczęła około herbaty, Sylwan się z trudnością podniósł na łożku i usiadł; okrył się siermięgą, która przy nim leżała; oblicze miał zmienione, a gospodyni, która go tak dobrze znała, z podziwieniem spostrzegła, iż zdawał się odżywiać.

— Wzywałeś lekarza? — spytał Wojtek.

Sylwan głową potrząsał.

— To pierwsza rzecz, którą uczynić musisz — odezwał się Wierzbietę. — Niech parobek siada na konia i jedź po pierwszego lepszego. Ja od tego nie odstąpię.

Sylwan nie sprzeciwiał się, a gość poszedł wydać rozkazy. Rozpytał, jak umiał, o najbliższego doktora i kazał go przywieźć natychmiast.

Po raz pierwszy od bardzo dawna, gdy Wojtek sobie nalewał herbatę, gospodarz dał znak, że i on-by się jej napił. Tatiana pośpieszyła po szklanekę.

Siedzieli dziwnie milczący, czasem kilku słowami tylko zmieniając myśli. W chorym widać było jakieś usposobienie inne, dziwne dla tych, co na niego oddawna patrzyli.

Z Wierzbietą nie prawie nie mówił o sobie — pytał o drugich. Ku wieczorowi, po dość długim oczekiwaniu, nadjechał doktor.

Był to młodziuteńki jeszcze, świeżo wypuszczony z kijowskiego uniwersytetu eskulap, cały przejęty medycyną, nauką, rozmiłowany w swoim powołaniu, namiętnie prawie oddający się praktyce. Przynosił z sobą do łoża chorych życie, nadzieję, otuchę, bo sam nigdy nie wątpił o siłach natury, ani o skutkach umiejętnej leczenia, dokazujących cudów.

Pierwszą rzeczą było opatrzenie chorego, który bez oporu położył się, dał auskultować, kaszlał, oddychał, i posłusznie szedł za wskazówkami doktora. Na twarzy młodej i rozumnej lekarza, to posępnej, to rozjaśniającej się, widać było przalatające wrażenia badanych symptomatów. Po ukończeniu tych poszukiwań kazał się położyć choremu, a sam zadumał się, siedząc przy nim, jakby sumiennie chciał sobie zdać sprawę z rezultatów własnych badań.

W kilku słowach nakazał napróżd środki bardzo proste i przepisał dyetę. Nie widać było, aby tak bardzo o swym pacjencie rozpaczał. Wojtek, który mu się przypatrywał pilno, niewiele się mógł nauczyć z twarzy.

Wyszli przed chatę razem, gdyż Sylwan zdawał się potrzebować spoczynku.

— Doktorze! — odezwał się Wojtek — jestem przyjacielem tego człowieka, potrzebuję wiedzy; mów mi prawdę: czy jest jaka nadzieja ocalenia go!

Lekarz, nim odpowiedział coś, rzucił kilka pytań, dotyczących się przeszłości.

— Pański przyjaciel — rzekł w ostatku — prawdopodobnie sam chciał się umorzyć i silny swój organizm zniszczył dobrowolnie. Nie mogę ręczyć, czy się teraz jeszcze zdźwignąć potrafi; ale gdyby miał wolę, która dokazuje cudów, gdyby były środki....

— Środki! — przerwał Wierzbietę żywo — ależ ja mu przywiozłem kilkadziesiąt tysięcy rubli, które od lat wielu leżały u mnie! Nakłoń go pan tylko do przedsięwzięcia właściwych środków, a nie zbraknie mu na niczem.

Doktor wielkimi zdziwionymi oczyma spojrzał na mówiącego.

— Dlaczegoż żył tak nędznie? Jakie były powody zniechęcenia do życia? — zapytał.

— Długo i trudno-by to wam tłumaczyć było — odparł Wierzbietę — ograniczyć się tem tylko zapewnieniem, iż przyczyn tego zniechęcenia część przynajmniej już dziś nie istnieje.

— Należy go wywieźć do Włoch, na południe, w lepszy klimat, to rzecz najpierwsza — rzekł doktor. — W tej chacie też długo pozostać nie może; a i sposób życia zmienić musi.

Wierzbietę chodził żywo, zadumany, wodząc za sobą doktora po małym podwórku.

— Zatrzymaj się pan z nami — dodał — będę mówił z nim — może się uda ocalić człowieka, którego wartości pan się nie domyślasz nawet.

Powrócili nazad do chaty, gdzie Sylwana znaleźli jeszcze siedzącym na łożku. Zmierzył ich ciekawymi oczyma.

— Doktorze — począł żywo. — Wiem, że jak wszyscy twoi koledzy, będziesz mi mówił z obowiązku o tem, jako żyć i ozdrowieć mogę. Prosiłbym jednak, abys mi raczej rzekł prawdę, do której jestem oddawna przygotowanym. Wiele mam życia jeszcze?

Doktor popatrzał nań poważnie.

— To zależy od was — odparł — życie macie w swoich rękach. Nie mogę za nic ręczyć, bo znam was zamało, abym siły obrachował, ale to wiem, że zdesperowanego niema nic — jeżeli pan żyć zechcesz, jeśli nie — możesz umrzeć prędko. Wszystko możliwe.

— Ale płuca? — zapytał Sylwan.

Poruszył ramionami doktor.

— Choroba, śmierć nie w nich siedzi — odpowiedział, uśmiechając się przy łożku. — Jedź pan do Włoch, postanów żyć i odżyć: możesz być zdrow.

Sylwan się uśmiechnął niedowierzająco.

— Dlaczego-byś nie spróbował? — przerwał Wojtek. — Gdybym mógł, to jest, gdyby mnie poczytliwe żonisko puściło, towarzyszyłbym ci chętnie. Tego jednak nie śmiem obiecywać.

— A ja nie mogę żądać — rzekł Sylwan.

— Znajdę ci towarzysza — dodał Wierzbietę i spojrzał na młodego lekarza.

— Towarzysza do Włoch zawsze sobie znaleźć można — rzekł, śmiejąc się, doktor.

Zaczynało być późno. Posłano Sylwanowi łożko, oddawna nietykane, doktor go okrył, sporządził napój, a sam z Wojtkiem, wyrugowawszy starą Tatianę i czeladź, poszedł naprzeciwko, gdzie im siana posłano na ziemi. Dopóżna rozmawiali pocichu.

Tatiana, będąca na zwiadach, z wielką obawą jakąś dała znać, że pan spał i zdawał się, jak nigdy, głębokim snem ujęty.

W tydzień potem Sylwan z doktorem, który zgodził się towarzyszyć mu w podróży, dał się Wierzbietę do Włoch wyprawić.

Smutno-by mi było opowiadanie to zamknąć bez epilogu, którym los — miłosierny czasem, gdy już się od niego nie spodziewamy litości — dokonał historią Sylwana.

We dwa lata po wyjeździe z chutoru swego Sylwan Nitosławski znajdował się w Hyères. Stan jego zdrowia tak dalece się polepszył, iż najmniejsze mu już nie groziło niebezpieczeństwo, ale jakaś potrzeba ciszy, spokoju, ukojenia na duchu trzymała go na południu. W samym początku w Cannes i Hyères z doktorem, Sylwan dał się młodemu, a zapalonemu do nauki towarzyszowi swemu pociągnąć nieznacznie do poszukiwań i studyów z mikroskopem. Przyszło to

nie odrazu; lecz gdy począł Nitosławski zabawić się badaniami naczyń w roślinach, protoplasmów komórek, włókien—tak się zajął nimi, iż, książki i narzędzia sprowadziwszy, namiętnie oddał się temu, co nazywał zabawką, a co było już naukowem poszukiwaniem.

Doktor przeszedł od tych studyów do innych, Sylwan przy nich pozostał. Zrodziła się prawdziwa namiętność, a zatem poszła wprawa, coraz dalej rozposcierając się granice badań—i miłośnictwo, które zarówno śmiesznem jak godnem poszanowania uznać było można.

Wojtek Wierzbietą, uwiadomiony o tem, cieszył się—a żona jego ruszała ramionami.

Zimę tę spędzał Sylwan sam w Hyères, do którego się przyzwyczaił, choć ze stacyi klimatycznych w tych stronach jest to może najmniej powabna—i najsmutniejsza. Ale pokój i cisza błoga panują na tem wybrzeżu.

Zwykle posyłają tu takich chorych, którzy mało co wychodzą z domów: miescina więc wydaje się pustą i wymarłą.

Wszystkie inne stacje, jak Cannes, Nicea, Monaco, San-Remo, Bordighera—więcej są ożywione, weselsze i mają czem zabawić swych gości; Hyères nie stara się o to, a chlubi, że ma spokojniejsze powietrze, mniej wicherów i kurzawy. Nie wiem, czy tablice meteorologiczne potwierdzają tę pretensję.

Jednego wieczora, wróciwszy z wycieczki do Norquerolles, Sylwan wchodził do swego mieszkania, niespodziewając się na stole nie znaleźć oprócz numeru wieczornego dziennika, który mu do herbaty podawano, gdy oczy jego zwróciła biała koperta.

Pocztowy stempel wskazywał, że pochodziła nie dalej niż z Cannes.

Tam nie miał nikogo znajomego. Otworzył kopertę z ciekawością; wewnątrz ćwiartka z czarną obwódką go uderzyła. Na żalobnym tym papierze stały tylko słowa:

— Dawna znajoma, przypadkiem dowiedziawszy się o pobycie jego w Hyères, zasyła pozdrowienie i prosi, abys ją kiedy odwiedził.

Michalina.

Nazajutrz pierwszym pociągiem Sylwan był w Cannes, a w ganku willi nad morzem stojącej wśród eukalyptusów, bladej i smutnej, z uśmiechem na ustach podawała mu rękę,—wdowa po baronie Alfredzie.

Potrzebaż mówić, iż wrócili do kraju mężem i żoną!!

K o n i e c .

LISTY J. I. KRASZEWSKIEGO Z MAGDEBURGA.

III.

Pamiętniki hr. Horacego de Viel-Castel'a za czasów panowania Napoleona III (1851—1864), ogłoszone przez Léonzon le Duc'a, z powodu wywołanego zgorzienia zakazane we Francji, w dalszym ciągu ukazywały się w Bernie. Teraz są już ukończone, na tomie VI, który świeżo wyszedł na widok publiczny. Nie wiem, czy wszyscy czytelnicy byli tak znużeni ich czytaniem, jak ja, ale co do mnie, rad jestem, że się to już skończyło. Autor sprawia przykre wrażenie: jest to natura zawistna, wyszukująca we wszystkim stron najgorszych, lubująca się w obmowie, łatwowierna jak dziecko, pełna w sobie niezgodności, zmieniająca przekonanie co chwila — a jak gdyby tego było jeszcze za mało, złośliwa, swarliwa, przyskająca jad. Obraz dworu — z wyjątkiem samego cesarza — jest jak najsmutniejszy. Co prawda, czarne te barwy przystały dworowi Napoleona III, ale autor nadając je, wpada w krańcową przesadę; widzimy go z równą żartobliwością miotającego się na własną rodzinę. Z żoną swą oddawna rozłączony, kłóci się z dziećmi; nie chce ich ani znać, ani widzieć; zrywa ze

swym przyjacielem Lagueronnièrem; Niewekerke'go zmusza prawie do tego, żeby mu dał dymisję: żyje z całym światem w niezgodzie. Odbija się to na pamiętnikach, w których autor wszystko błotem obrzuca.

Przedzierzgając się w dziennikarza, majaczy o polityce w sposób tak dziwny, że niepodobna go czytać bez rzeczywistego mozołu. Zresztą co chwila jest w sprzeczności z samym sobą. Tesame osoby, który chwalił był w tomie IV, potępia znowu i besztą w tomie VI. Księżna Matylda, poprzednio oszczędzana, w tomie tym nareszcie doznaje losu wszystkich przyjaźni i znajomości autora. Naostatek i Lagueronnière, wyborny dziennikarz jeszcze wczora, staje się człowiekiem do niczego i prawie łotrem. Viel-Castel nie oszczędza absolutnie nikogo. W początku czytania doświadcza się litości — w końcu już — obrzydzenia. Kończy się nareszcie to wszystko wraz ze śmiercią autora, w r. 1864 — a po tem wszystkiem wydawca p. Léonzon le Duc ma jeszcze odwagę w dopisanym epilogu wychwalać autora za jego prawdomówność! Nieprzyjaciele Napoleona III i Bonapartyści mogą być bardzo wdzięczni hrabiemu, gdyż dostarczył on im straszliwej broni przeciwko temu Cesarstwu, którego wszystkie szkarady są jakby na pokaz wyłożone w tej książce, brudnej i niegodziwej — z bezwstydem niedouwierzenia.

Przeczytanie sprawia smutek i potrzeba się potem odświeżyć, gdy się było zmuszonym pochłaniać te obrzydliwości. Ponieważ skandal ma zawsze pociąg dla pewnego rodzaju publiczności: więc i pamiętniki Viel-Castel'a prędko jakoś przełknięto i zapewniono im nawet powodzenie chorobliwej ciekawości. Potomność niechaj im lekką będzie!

Obok nieznośnego Viel-Castel'a znajduję na swym stole pamiętniki Alfreda Meissnera, ogłoszone p. t.: *Historia mojego życia* (Geschichte meines Lebens; Band I 291 pp., Band II 351 pp.). Chociaż nie zawierają one nic osobliwie dla nas przyjemnego, wolę nieskończenie pomówić z wami o tej zajmującej książce, niż o pamflocie dawnego Bonapartyisty. Meissner żył z wielu Polakami widział i znał wielu; ale nie należy do rzędu ich przyjaciół. Mniejsza o to. Jako poeta, romansopisarz i dramaturg, Meissner choć wiele wytworzył, mało, a może i wcale nie jest znanym u nas. Należy on do pokolenia 1848 r.; razem z Wagnerem, Laubym, Auerbachem, Bakuninem i wielu innymi uczestniczył w ruchach rewolucyjnych w Austrii; zasiadał w parlamencie frankfurckim; przeszedł przez wszystkie złudzenia ideologów i wszystkie zawody tych, którzy wierzą w teorie, nieznając ludzi i życia.

Część niespokojnego swego istnienia spędził w krajach obcych, na wygnaniu, w Anglii, we Francji i w Belgii. *Historia tego życia*, w którym przypadek pozwolił mu spotkać kilka razy Heinego i dotrzymać mu towarzystwa, kiedy był sam i opuszczony — roi się od zajmujących szczegółów o stosunkach domowych poety, o nim samym, o jego żonie i o mnóstwie innych ludzi z owej epoki: ze wszystkich tych osób Meissner daje nam sylwetki. Pomiedzy innemi jest także i nasz kochany Mickiewicz. Opisuje też autor *Historii mojego życia* wieczór w zaufanym kołku u Skrzyneckiego.

Książka napisana jest stylem ożywionym, gorąco, bez przewlekłości. Czuć w niej rękę wprawnego powieściopisarza, rękę artysty. Szczególniej rozdziały dające nam obraz ostatnich lat biednego Heinego, portret jego żony Matyldy, jego otoczenia i opowiadanie jego cierpien, opuszczenia, w jakim własna rodzina pozwałała mu dogorywać — wszystko to wzrusza do głębi, a malowane jest pędzlem mistrzowskim.

Konający Heine Meissnera w niczem nie jest podobny do tego cynika, przedrwiwającego świat cały i nieszanującego nic i nikogo, jakiego znamy z innych obrazów. Zupełnie on inaczej się tu przedstawia. Widzimy w nim, człowieka nie tylko z rozumem, ale i z sercem; uczymy się kochać tego biedaka wydziedziczzonego, który zamiera wolno, łagodnie, żartując i śpiewając, aż do ostatniego tchnienia. Jego żona również zyskuje na bliższym poznaniu. Meissner potwierdza

to, co już Weil był napisał o jej charakterze; jej prowadzenie się, było bez zarzutu, pomimo pewnej lekkości i niepojętej niepamięci o jutrze. Nawet wtedy, kiedy się zestarzała, było to wciąż dziecko — i istota uboga umysłem.

Po przewybornym rysie jednego z odczytów Micheleta, Meissner mówiąc o współczesnych mu znakomitościach, wspomina także o Mickiewiczu i wyraża się o nim w tych słowach:

„Chciałem poznać poetę Adama Mickiewicza, kolegę Micheleta. Zajmował on na Batignolles, przy ulicy Bulwarowej, pod Nr 12-m, mieszkanie na dole, które sprawiało rozdzierające wrażenie biedy i opuszczenia. Nawet u Milтона niedola nie mogła być okropniejszą. Widok największego poety słowiańskiego zostawił we mnie jaknajsmutniejsze wspomnienie. Mickiewicz wówczas dosiadał zaledwie 48-go roku życia; ale wyglądał nad wiek swój staro i pełen znużenia. Było to w Lutym. Poeta chodził tam i napowrót po ogromnej izbie, mając nogi w berlaczach czy kaloszach (*Filzschuhe*) — jakichś ogromnych rozmiarów. Izba miała podłogę z cegły. Zimno było.

Na dwa lata przedtem utracił był już swoje katedrę professorską w kolegium. Bieda, przesładowania, nieszczęścia rodzinne — wprawiły go w stan prawie graniczący z obłędem umysłowym. Rozmawialiśmy ze sobą po francuzku, ale on rozumiał po niemiecku, gdyż czytał mój poemat *Ziska*, — przyniósł mu go był jego ziomek Chojceki“.

Rozmowa nie musiała być długą. Mickiewicz, żegnając się z Meissnerem, dał mu książkę swoją o messyanizmie. Autor kończy: „Mickiewicz taksamo jak i współczesny mu znakomity Słowacki, sprawił na mnie wrażenie — nieszczęścia bez miary. Nie więcej powiedzieć — bym o nim nie mógł“.

Skrzynecki był oddawna znajomym rodzinie Meissnera. W wiele lat po widzeniu go w Pradze spotkał się z nim w Bruxelli. Nabrał dla niego szacunku, a znając jego przekonania religijne, po wydaniu *Ziski*, nie śmiał się do niego zbliżyć.

Pewnego razu generał spotyka go w Parku, zbliża się do niego, wyrzuca mu, że zapomniał o nim, i zaprasza go do siebie. Wieczorem Meissner musiał się stawić, przy ulicy Des Cerfs, gdzie generał mieszkał wraz ze swą rodziną.

„Pokoje — mówi autor — były bardzo skromnie umeblowane — prawdziwe mieszkanie biedaka, w którym nie kuszono się nawet o żaden komfort, w ciągłym oczekiwaniu, że się je z dnia na dzień zmieni. Zgasł już był ogień na kominku, nie dawałszy ciepła. W przedsionku zaraz wielki krucyfiks wpadał w oczy. Żona generała i piękna blondynka Jadwiga przyszły mnie powitać. Na stole ukazały się, jak dawniej, samowar i herbata. Przypomniałem sobie dobre czasy, kiedy, będąc jeszcze małym chłopcem, zmiatałem z apetytem butersznytę u generała.

„Ah! — nietylko herbata i butersznytę na mnie czekały: przybył i generał z wyrzutami, na które byłem przygotowany. — Czytałem pański poemat — odezwał się. — Ach, jakież wrażenie na mnie sprawił! Tak, więc szatan pochwylił już pana w swe szpony, napadasz pan na religię i t. d.

Generałowa starała się udobruchać męża, a Meissner usprawiedliwiał się, jak mógł, z wielkim umiarkowaniem i taktem. Odwiedziny skończyły się bez zajść nieprzyjemnych. Ażeby się od dalszych odwiedzin uwolnić, poeta przy pożegnaniu powiedział, że nazajutrz wyjeżdża z Bruxelli.

„W chwili rozstania dobre serce generała — nowo się wzruszyło: uściśkał mnie, ucałował, zwykłym obyczajem, w oba policzki, zrobił nad głową moją znak krzyża świętego i obsypał mnie jaknajlepszymi życzeniami“.

Nigdy już potem Meissner nie zobaczył generała.

Stosunki z innymi starymi znajomymi, jeżeli uwzględnimy nieliczne wyjątki, wogóle zgotowały Meissnerowi zawód. Między innemi daje nam autor pamiętnika wcale niekorzystne wyobrażenie o Laubym, o jego charakterze osobistym i działalności, jako dyrektora teatru. Gdy dramat, w którym grał także Dawison, a z którego

sobie dużo obiecywano¹⁾, zrobił *fiasco*, Meissner obwinia o to Laubego. Ma też do niego żal z powodu zmiany przekonań.

Pamiętniki kilka razy dotyczą spraw Narodowości Słowiańskich w Austrii, głównie zaś Czechów, i zawierają wiele ciekawych szczegółów o osobach znakomitych, które grały najczerniejsze role w owych czasach: o Palackym, Riegerze, Augustynie Smetanie i innych. Odwiedziny u Matyldy Heine wtedy już wdowy, kończą tom drugi, około r. 1852. To więc, co dotąd wyszło, jest tylko częścią *Historii całego życia* i niewątpliwie będzie prowadzone dalej.

Zdaje się, że pamiętniki Meissnera doznały powodzenia, gdyż pierwszy tom ukazał się już w drugim wydaniu. Meissner pisze bardzo dobrze i ma dar zajmowania czytelnika. Może być, że pierwszy tom więcej obiecuje, niż dotrzymuje drugi, ale w całości biorąc, jest to dzieło, posiadające pewną wartość historyczną — autor jego jest człowiekiem dobrej wiary.

Nie brakuje nowych książek, zwłaszcza zaś nowych romansów francuskich. Maupassant daje nam tom małych powiastek i szkiców (*Siostry Rondoli*). Cały świat teraz już, jak może, czytuje te małe klejnociki; ale wspomniany tom Maupassanta nie należy do rzędu najlepszych jego robot — jest zanadto realistyczny, zmysłowy.

Zdaje mi się, że już mówił w jednym z moich listów o „Gypie” — pseudonym, pod którym, jak mówią, ukrywa się dama z wyższego świata. Otóż i ten „Gyp” poszedł za przykładem innych i wydał tom małych scen, małych obrazków, małych *nic*, bardzo ładnych, jeśli chcecie, ale trochę „rwanych za włosy” — jak mówią Francuzi — pełnych pretensji i manierowanych. Wiele w nich sztuki, ale mało natchnienia. Maupassant, „Gyp” i inni nie robią sobie ceremonii ze swymi czytelnikami. Kładą napis pierwszej powiastki rozpoczynającej tom na okładce i zdarza się w ten sposób, że nabywszy *Delikatnego człowieka* (*L'homme délicat*) „Gypa”, który wydawał się jedną powieścią całkowitą, znajduje się człowiek w posiadaniu ośmiastu ułameków, których robota, sposób pozszywania, męczą. Nie zaprzeczamy talentu pani czy panu „Gyp”, ale talent ten, zamiast od pierwszego szkicu (Naokoło małżeństwa) dojrzeć i rozwijać się, przeciwnie, zdaje się, jakgdyby słabnąć i wyczerpywał się.

Wprawdzie i tym opowiadaniom „Gypa” nie brakuje delikatności w spostrzeżeniach a wykończenia w szczegółach. Widać w nich staranność, opracowanie, modelowanie, ciekawe misterne rzeźbienie; są jednakże obok tego i wielkie dłużyzny, a w większej części scen ideę przytłacza pretensjonalne wykonanie przyćmiewające jej blask. Czytelnik z góry już wie, jak się dany wypadek zakończy; gdyż sposób rozwiązywania jest zawsze tensam i po odczytaniu pierwszego utworu, wie każdy, czego ma się trzymać.

Na zakończenie coś całkiem niezwykłego: małe czarna książeczka, przysłana mi przez autora z kilku słowami — aż z Rio de Janeiro. Widać na niej zaofiarowanie Wiktorowi Hugo. Książeczka ta obejmuje *Poemata niewoli* i *Legendy indyjskie* p. Mello-Moraes, syna, w przekładzie z języka portugalskiego na francuski. *Poemata niewoli* — jak to widać z przedmowy, są echem przeszłości, gdyż niewoli nie ma już w Brazylii dla tych, którzy w niej na świat przychodzą; nad starszymi tylko utrzymano jeszcze dawne prawo własności, przysługujące właścicielom ziemi, a uczyniono to ze względów ekonomicznych²⁾. *Poemata* niektóre, sądząc z przekładu, muszą być w oryginale prawdziwie ładnymi klejnocikami.

1) „Reginald Armstrong”.

2) W r. 1871 postanowiono, że wszyscy urodzeni po dniu ogłoszenia prawa z dojściem do pełnoletości prawnej będą wolnymi; niewolę wszystkich innych utrzymano, ale dozwolono wykupywania się z niej i ustanowiono nawet umyślny, choć nieznaczny, fundusz. W r. bieżącym, przed 5 tygodniami, minister Dantas wniósł uwolnienie dla starszych nad lat 60 i powiększenie funduszu wykupowego. Izby wniosek odrzuciły, co spowodowało nawet przesilenie gabinetu. Nie potrzebujemy czytelnikom przypominać sympatycznej charakterystyki Murzynów, jaką daje rodzaczka nasza pani Helena Negroni w oryginalnych wspomnieniach swoich z pobytu w Brazylii. (N. 30 i 31) — *Przyp. Red.*

w których uczucie łączy się z fantazją i zjadliwą ironią, a lzy obok uśmiechów jaśnieją. Legendy indyjskie są również bardzo zajmujące... ale czy też ta mała książeczka wydana w Rio będzie także znana w Europie?

Sama już przedmowa, podająca koleje prawnego wyzwolenia Murzynów, zasługiwałaby na poznanie, gdyż zawiera szczegóły całkiem nowe dla czytelnika z naszego Starego Świata.

ROMANTYZM WE FRANCYI

przez

JERZEGO BRANDESA

w streszczeniu podał

Edward Lubowski.

XVI. Ruch idei socjalno-politycznych i poezja. Saint-Simon, jego szkoła i wpływ.

(Dokończenie).

Zgrupowali się około niego uczniowie, u których znalazł wsparcie. Słuchali chętnie jego nauk i zaczęli szerzyć jego idee. W chwili gdy umierał, na pięć lat przed Rewolucją Lipcową, idee jego znane były w niewielkim kole, lecz pod Ludwikiem Filipem rozszerzyły się bardziej a zarazem przeobraziły. Wytworzyła się z tego sekta, z arcykapłanem na czele, a między członkami liczyła Izaaka Pereirę, kompozytora Fel. Dawida. Idee te dotarły wszędzie. Michał Chevalier wziął je jako żywioły do swej ekonomii politycznej; wielki historyk Francji, Augustyn Thierry, czuł się przez nie natchnionym, a najznakomitszy myśliciel owej epoki August Comte, wykuł z nich podstawowe swe myśli; znalazły się one wreszcie zmodyfikowane w Piotrze Leroux i Lamennais'em; a równocześnie wpłynęły i na poezję. Nic w tem dziwnego, bo Saint-Simon obok swych marzytelstw miał i jasnowidztwo wielkich poetów.

Idee jego były symptomatami wielkiej reakcji przeciw XVIII stuleciu; gdyż XIX wiek nazwał on dopiero organicznie — pozytywną epoką. Występował zarówno przeciw tym, którzy szczęście widzieli w zmianie formy państwowej, jak i przeciw partyi klerikalnej, która przeszłości broniła. Był rzecznikiem przyszłości, a tkwiła w nim ta jedna iskra prawdy, że ludzkość nie da się ucywilizować samymi pojęciami rozumowemi, ale i religią, tylko taką, któraby się pozbyła dawnych tradycji. Negatywna wolność była dlań niczem; chciał on prawdziwej, czyli takiej, któraby ułatwiła większą, pozytywną możność działania. Chodziłoby teraz o odbudowanie naukowego i przemysłowego systematu. Przemysł miał zastąpić dawne wojny. Przedewszystkiem zaś należało „zorganizować” naukę i przemysł. Co do pierwszego, trzeba czytać Saint-Simona „Listy genewskiego obywatela”, w których żąda, ażeby na grobie Newtona urządzić subskrypcję dla dobra znakomitych uczonych i artystów, ażeby mogli się bez troski oddawać swej pracy. Na projekt ten autor *Chattertona* przystałby odrazu, lecz zdziwiłoby go może, gdyby się dowiedział, że wzamian za to geniusze ci mają udzielać ludzkości duchowej strawy według szczegółowego planu reformy. Względnie organizacyi przemysłu „parabola” Saint-Simona jest nader zajmującą. Żałujemy, że nie możemy dla braku miejsca przytoczyć jej treści; dosyć wszakże powiedzieć, że podstawą jest ta myśl: że tylko produkcyjna klasa obywateli jest istotnie pożyteczna, i że kiedy przed Rewolucją istniała walka pomiędzy szlachtą i mieszczaństwem, dziś panuje ona między stanem produkcyjnym i nieprodukcyjnym, bo przyszłość należy do dzielności przemysłowej pracy, działalności pokojowej, pozytywnej. Podczas kiedy ekonomiści francuscy chcieli zapewnić jednostkom tylko rozwój ich zdolności, Saint Simon żądał wmięszania się w to państwa. Ono-to powinno zorganizować

pracę i produkcję, ono tylko może dokazać tego, że w przyszłości nie będzie wyzyskiwał człowiek człowieka, ono wreszcie może znieść sztuczne nierówności między ludźmi, a więc i przywilej rodu i dziedzictwa.

Spotykamy więc u Saint-Simona podstawową myśl nowoczesnego socjalizmu, oraz nieufność do następstw swobodnej konkurencji; aż doszedł do owej słynnej konsekwencji: *à chacun selon sa capacité*. Ztąd wypłynęło we Francji porównanie mężczyzny z kobietą, a potem pragnął jeszcze, ażeby polepszyć dolę najuboższych, i w ten sposób dojść do „Nouveau Christianisme”.

Tkwilo coś w osobistości Saint-Simona, co nawięzijszym wespół romantyków wydać się musiało pokrewnem. Posiadał on bowiem nieograniczoną ufność w siebie, ale nie miał wcale ostrożnej samokrytyki filozofa — był prorokiem. Chciał przytem na sposób romantyków wszystko przeżyć i wszystko odczuć. Warunki, jakich od myśliciela żądał, były: 1) w latach siły prowadzić życie najmożliwiej czynne i oryginalne; 2) poznać każdego rodzaju teorię i praktykę; 3) studyować wszelkie klasy społeczne; 4) z obserwacyi poczynionych wyciągnąć wnioski. Odstrecał tylko romantyków zapal Saint-Simona dla przemysłowców, jako wyłącznie utylitarny, lecz nauka jego działała na nich pętnie swym rewolucyjnym i fantazyjnym elementem, oraz czczią posuniętą do ostateczności dla geniuszu; była ona wreszcie poetycznym okazaniem troski o kobietę i miłość ludzkości.

Dopiero po 1830 r. przetworzyła się nauka ta w potęgę społeczną. Saint-Simon żył jak apostoł, uczniowie jego uważali go na seryo za Messyaszę nowych czasów i poszli szerzyć jego naukę. Wprawdzie organ Saint-Simona, *Le Producteur* przestał wychodzić już w rok po jego śmierci; ale od czasu jak *Enfantin* — niby św. Paweł nowej nauki — kaznodzieja pierwszorzędnym, stał się faktycznym naczelnikiem sekty, zyskała ona niemało zwolenników w młodzieży i ukształconych kobietach. Założono nowe pismo: *L'organisateur*, a od 1831 roku objął Piotr Leroux redakcją *Le Globe*. Lecz nauka traciła coraz więcej pierwotną swą barwę. Saint-Simon dał kapitalistom pierwsze miejsce: następcy jego napadli na kapitał; Saint-Simonowi wstrętny był wszelki komunizm; następcy żądali faktycznego podziału dóbr i tego żądali od państwa. Z Saint-Simona „nowego chrześcijaństwa” wysnuł *Enfantin* inne konsekwencje i chciał je natychmiast wprowadzić w życie. Konsekwencje te wysmiano, a sądy (w r. 1832) skazały *Enfantina* na rok więzienia, Michała Chevalier zaś i Duverryera na karę pięcioletnią. Młodzi entuzjaści rozproszyli się po świecie, ale później na różnych polach odznaczyli się jako znakomici ludzie.

XVII. Saint-Simonizm i literatura nadobna. — Lamartine. — George Sand.

Bezpośrednio nauki Saint-Simona, zarówno jak równoczesne utopie Fouriera, nie miały wpływu na literaturę nadobną; same atoli idee Saint-Simona zapłodniły umysły i wywołały idee pokrewne, takie np. jak Ludwika Blanca demokratyczno-socjalistyczno-humanitarne, albo Lamennais'ego, albo P. Leroux „w drugim jego periodycie”. Na Lamartine czuć ten wpływ w *Jocelyn'ie* (1836 r.), w którym napada już na celibat duchowny. W *La Chute d'un ange* znać, że już poeta pozbył się dawniejszego swego seraficznego stylu, a w mowach jego parlamentarnych wpływ idei Saint-Simona widoczny. On, urodzony arystokrata, występuje teraz w polityce jako: „démocrate conservateur”, dzieło zaś jego: *Historia Żyrodystów* przyczyniło się niemało do usposobienia umysłów rewolucyjnych. Wiadomo, że w r. 1848 był Lamartine istotnym naczelnikiem Rzeczypospolitej.

P. Leroux wtajemniczył panią Sand w idee socjalne, którym ona bez namysłu się oddała. P. Leroux, metafizyk o szlachetnym sercu, ale niejasnej głowie, walczył jako reformator za idee równości i postępu, bo dla niego każdy postęp był krokiem naprzód w równości. Istnie-

jące stosunki społeczne, jako niesprawiedliwe, odrzucał, a w ich miejsce wprowadzał nową teorię, polegającą na trojakiej naturze człowieka. Rozważając te utopie, podziwiać trzeba, że poeci wzięli tylko to, co było zdrowe, a wszelką sztuczność i fantazyjność odrzucili od siebie. Dali się uwieść marzycielstwu tych szlachetnych ludzi, ich miłości dla ludzkości, ich wierze w lud i ich ich zapalowi dla postępu. Na ducha p. Sand wpłynął bądźco bądź zbawiennie Saint-Simonizm powrócił jej po paroxyzmie *Lelii*—spokój i wiarę. Zwróciła ona swą uwagę na klasy ludowe po miastach; robotnicy wydali się jej teraz bezinteresowniejszymi, aniżeli mieszczaństwo, i zdawało się jej, że występki, które opisywała jako właściwe w ogóle mężczyznom, były tylko udziałem pewnej ich klasy. Ta też miłość dla klas robotniczych, w połączeniu z jej idealizmem, dała jej możność patrzenia na charakter robotników ze strony idealnej. *Horacy* (1840), który-to romans spowodował zerwanie stosunków z *Revue des deux mondes* i *Le Compagnon du Tour de France*: oto są dwa dzieła wynikłe z tego przeobrażenia. To ostatnie zwłaszcza jest romansem robotniczym w całym znaczeniu tego słowa, a przez niewinność swą i czystość stanowi prawdziwy kontrast takich samych romansów Sue'go.

Brandes uważa *Horacego* za najlepszą książkę, jaką Sand napisała. Bohaterem jest starannie i głębiej wystudyowany, typowy bourgeois lipcowego królestwa. Dała tu dowód bystrości i psychologicznej głębi, równej Balzacowi. Wobec *Horacego*, Arsène proletaryusz, gra piękną rolę, a pomimo to uwierzyć w nią można. Arsène walczy bohatersko w powstaniu robotniczym dnia 5 Czerwca 1832 r. i zostaje ciężko ranionym. Powstanie to maluje autorka nader sympatycznie. Mężem, którego Arsène uwielbia, jest Cavaignac. Autorka charakteryzuje jego samego i jego towarzyszy słowami: *Les amis du peuple*. Egoizm i chłód *Horacego* zdradzają się nagłą pogardliwą nauką Saint-Simona, którą nazywa szarlataneryą. Charakterystyczne tu są rozdziały VI, X, XIV i XX. Zapewne, że daleko więcej poruszonych tu zagadnień, aniżeli ich autorka rozwiązać mogła, ale już samo zajęcie się zadaniami chwili nadaje romansowi historyczną i ponętą barwę. Nie jej wreszcie zadaniem jako romansopisarki było rozwiązywanie zagadnień! W *Compagnon du Tours de France* podziwienią godną jest świeżość uczucia, z której romans ten powstał. Autorka tylko współczuciem żywym powodowana dla cierpiących i uciskanych niesprawiedliwie, napisała tę książkę. Miłością dla ludu nacechowana jest ta książka, i to dla ludu takiego, jakim on jest, to jest gwałtownego i upijającego się, ale i do pracującego i czyniącego duchowe postępy. Myśl zasadnicza da się streścić słowami szlachcica, jednej z figur romansu: „Wszystko dla ludu, nie przez lud, inaczej bowiem ubodzy byłiby zarazem stroną i sędziami”.—na co mu córka odpowiada: „Alboż my nie jesteśmy w tym samym wypadku?” Po napisaniu tej książki, rzuciła się Sand na pole praktycznej polityki. Od czasu zerwania z *Revue* wydawała z P. Lerroux Viardot'em, Lamennais'em i A. Mickiewiczem *Revue independante*; teraz w r. 1843 założyła z kilku przyjaciółmi w swojej okolicy republikańskie pismo: *L'éclair de l'Indre*. Tu broniła spraw robotników wiejskich i miejskich, a w 1844 r. ogłosiła się bezwzględnie socjalistką. W r. 1848 wydawała krótko: *La cause du peuple* pisywała słynne *Listy do ludzi*, a wreszcie buletyny dla rządu prowizorycznego. W ciągu tego roku republikański jej socjalizm doszedł do fanatyzmu; w artykule: *La majorité et l'unanimité* kończy groźbą, że w razie, gdyby wybory nie wypadły po myśli ludu, czas będzie zawsze chwycić za broń.

Ciekawym jest widok kobiety, doprowadzonej przez miłość wszechwładztwa ludu do takiego despotycznego rezultatu; wskazuje to zarazem dziką i męzką jej energią. W ogóle Brandes nie ma dosyć słów uwielbienia dla pani Sand, jako kobiety czującej potrzeby społeczne i piszącej, ale piszącej głównie może dlatego, iż była tak wrażliwą na sprawę ludu.

XVIII. Demokracja romantyzmu.—Lamennais i Hugo.—Rok 1848.

Wiktor Hugo stał od pierwszych lat młodzieńczych w najściślejszym stosunku z Lamennais'em. Idee klerykalne i konserwatywne obojgu, mieniały się z biegiem lat, poprzedzających Lipcową Rewolucję. W kilka lat potem Lamennais odpadł od Kościoła; ażeby zaś pokazać, że odpadł, nie z niewiary, ale z nowego przekonania, dał tytuł słynnemu swemu manifestowi „*Les paroles d'un croyant*” (*Słowa wierzącego*—1833). Od wynalezienia sztuki drukarskiej żadne chyba dzieło nie wywarło takiego wrażenia. W kilku latach okazało się 100 wydań; przedrukowano je w wielu krajach i przetłómaczono na wszystkie języki. Był to sąd na powagę królewską, papieża i księży, trzymany w stylu napół chrześcijańskim, na pół Starego Testamentu. Dzieło odznacza się ściśle kaznodziejską wymową, pełne partosu, ale ubogie w psychologię, mające dwa tylko kolory: piekielno-czarny i niebiańsko-biały, atoli ciepło uczucia, czystość i językowość ducha właściwa autorowi, działają podobnie jak słowa z grobu powstałego proroka starej Judei.

W r. 1837 wydał Lamennais *Le livre du peuple*, w tym samym duchu napisaną. Wtrącono zuchwalego księdza do więzienia, ale z więzienia wysłał on jedne książki za drugimi, a mianowicie: *Une voix du prison; Du passé et de l'avenir du peuple; De l'esclavage moderne*. Poczem gwałtownymi wstrząśnieniami wycieńczony—umiera, na trzy lata przed Rewolucją Lutową.

Oto próbka jego stylu: „Młody żołnierzu, gdzie idziesz?—Odchodzę, ażeby wywalczyć sprawiedliwość dla świętej sprawy ludów, dla wiecznych praw rodu ludzkiego, oraz wywalczyć swobodę!—Niechże broń twa błogosławioną będzie, młody żołnierzu!—Młody żołnierzu, gdzie idziesz?—Idę obalić przeszkody rozgraniczające ludy, niepozwalające im rzucić się sobie w ramiona jak braciom, którzy w miłej zgodzie żyć winni.—Niechże broń twa błogosławioną będzie, młody żołnierzu!—Młody żołnierzu, gdzie idziesz?—Idę, aby wyswobodzić, myśl, słowo i sumienie od tyranii ludzi.—Niechże będzie po siedm kroć pobłogosławiona broń twoja, młody żołnierzu!”

Frazesy te są abstrakcyjne zapewne, ale wymowa ich działa potężnie na człowieka z gminu.

Brak im przeto niewiele, ażeby się stały poezją,—stały się zaś poezją u W. Hugo. Czytając utwory Hugona z r. 1840, czuje się, że on słyszy uchem poety głuchą wrzawę podziemną Rewolucji i wie, że ona wybuchnie w Paryżu. Już w przedmowie do *Feuilles d'automne*, skarży się Hugo na Anglię, że Irlandyą zamieniła w cmentarz, i na inne smutne wydarzenia. Już tam w duchu Saint-Simona pisze o starych i nowych religiach. I od tego czasu występuje jako obrońca demokracji i religii ludzkości. W dramatach już swoich idzie w tym kierunku (*Le roi s'amuse*, *Ruy-Blas*, *Angelo*). Minęły czasy Molière'a, w którym z lokajem obchodzą się jak ze zwierzęciem,—Scapin przemienił się w Figara, a teraz w *Ruy-Blasa*, czyli, że lud zrzuci swą liberyą i bierze władzę w rękę. Do kodexu też ludzkościowego Hugona należy usiłowanie zniesienia kary śmierci *Le dernier jour d'un condamné* i *Claude Gueux*, o dzieła w tym duchu, a prócz tego manifestami i osobiście wstawiał się za skazanymi. Ta walka Hugona za ocaleniem życia skazańców politycznych, powinna zjednać część dla niego. Uratował też niejedno życie ludzkie. Między innemi, czterowerszem napisanym do Lud. Filipa ocalił najszlachetniejszego z rewolucjonistów, Armanda Barbès'a, od szafotu. Taki czyn pokrywa jego przesadzony patos i doktryneryzm.

Najpiękniejszy jednak pomnik ideowy wielkiego poety znaleźć można, naturalnie, w jego lirycznych poezjach. Wszystko, co napisał w dramatach i romansach, niczem jest w porównaniu z nieśmiertelnymi poezjami z r. 1830—1840, które wydał pod tytułem: *Les Contemplations*. Tu znalazł doskonale artystyczną formę dla swych przekonań społecznych i politycznych i dla swych idei. Mógł też słusznie sam powiedzieć: „Książkami, dramatami, prozą i wierszem, walczyłem w sprawie maluczkich i nieszczęśliwych, radziłem

łagodność tym, którzy potępiali ludzkość, żądałem praw dla kobiety i dziecka, wołałem: „dajcie im wiadomości, słowa, pisma, i chciałem więzienie zastąpić szkołą”. Ale za ledwo krok zrobił się naprzód.... znów powróciły dawne czasy, wołające: „Stój!”

Lecz tak się nie stało. Rok 1848 zahuczał grzmotem oczyszczającym nad całą Europą. Nadszedł on, ten rok trzęsienia ziemi, ale i naiwności romantycznych. Poeci i marzyciele stanęli na czele steru rządu, zamiast mężów stanu, a idee Saint-Simonistowskie zamiast politycznych myśli! A czyż to nie było charakterystycznym, że jedynym z pierwszych czynów rządu prowizorycznego, było na wniosek Lamartine'a, zniesienie handlu niewolnikami! — bo w Rewolucji r. 1848 znalazł swe ujście prąd idei romantycznej Francji.

Koniec.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Sierpniu 1884 r

Kłeska powodzi.—Regulacya rzek.—Kolonja wakacyjna.—Zakład wychowawczy p. Boberskiej.—Sprawa nauczycielek szkół ludowych i wydziałowych na Zjeździe Pedagogicznym w Tarnowie.—Opozycya przeciw oświacie kobiet.—Nowy gmach Towarzystwa Gimnastycznego.—Przewodnik gimnastyczny.—Sli-gawka.—Literatura.—Wydawnictwa Gubrynowicza i Schmidta: *Listy Zygmunta Krasińskiego*, tom drugi.—*Nowe opowiadania Wł. Narwoja*, przez Władysława Łozińskiego.—*O architekturze i budownictwie w dawnej Polsce*, przez Juliana Kotłackowskiego.—*O zależności zdrowia naszego od wpływów powietrza*, rozprawa Dra Wojciecha Urbańskiego.—*Dar s.p. xię-dza Formanjojsza dla Biblioteki uniwersyteckiej*.

(Dokończenie).

Towarzystwo gimnastyczne „Sokół”, które dotychczas przez lat kilkanaście mieściło się w pomieszkaniu najętym, zgromadziwszy obecnie dostateczne fundusze na wybudowanie własnego gmachu, zabrało się raźnie do dzieła i wkrótce już przeniesie się na własną siedzibę. Nie dawniej niż w Czerwcu odbyło się uroczyste położenie kamienia węgielnego: a oto dziś już budowa pod dach wyrosła i zaczęto się około wewnętrznych krzątać urządzenia. Gmach piętrowy będzie ze wszech miar odpowiadał swemu przeznaczeniu; ma duże, należyte oświetlone i wygodne sale, w których będzie pomieszczona z czasem szkoła szermierki, będącej także odłamem ćwiczeń gimnastycznych. Wybór miejsca pod budowę gmachu jest też szczególnie odpowiedni, w dzielnicy miasta dosyć ustronnej, na Chorażczyźnie, a nie zbyt znów tak oddalonej od miasta, aby uczęszczanie na ćwiczenia gimnastyczne było uciążliwym dla członków stowarzyszenia i młodzieży. W zabudowaniu tem będzie się także mieścić sala gimnastyki dla kobiet, z osobnymi w tym celu wyznaczonymi godzinami na naukę i ćwiczenia. Od czasu zaprowadzenia nauki gimnastyki pokojowej, tak zwanej szwedzkiej, w szkołach ludowych męzkich i żeńskich, szerzy się zamiłowanie do niej w młodym pokoleniu niewieściem, a dziewczęta nabierając wprawy w ćwiczeniach nabierają skutkiem tego zdrowia, siły i rumieńców. Już-to w ogóle gimnastyka u nas nabiera coraz więcej znaczenia pedagogicznego w systemacie wychowania, jako też i w ogóle, odkąd zwłaszcza czcigodny a niestrudzony—pracownik na polu higieny i nauk w ścisłym z nią związku pozostających dr. Żuliński rozpoczął wydawnictwo „*Przewodnika gimnastycznego*” wychodzącego już rok czwarty—miesięcznikami zeszytami, jako organ Towarzystwa „Sokoła”. Teoria gimnastyki, jej dzieje i praktyczne zastosowanie, opracowane są tu wszechstronnie i otwierają szeroki pogląd na postępowanie i rozszerzanie się gimnastyki i jej użyteczność. „Przewodnik” śledzi postęp i zastosowania gimnastyki we wszystkich kierunkach — w całym zakresie życia i zatrudnień człowieka wykazuje jej zalety, wadliwości lub niebezpieczeństwa na każdym polu, w szkole, w domu, w gospodarstwie,

na arenie wyścigowej, na ślizgawce itp. słowem podnosi ją do znaczenia umiejętności, opartej na pewnych stałych zasadach i do pewnych higienicznych celów rozumnie skierowaną. Oprócz tego pomieszcza „Przewodnik” liczne z kraju i zagranicy wiadomości odnoszące się do udoskonalenia ćwiczeń gimnastycznych, zakładania towarzystw gimnastycznych, tudzież bibliografią obejmującą wszystko cokolwiek ważniejszego w tym zakresie pojawi się na polu literatury. Rozprawy zamieszczane w „Przewodniku” stają się nieraz pobudką sporów naukowo lekarskich, wielkiej praktycznej doniosłości, jak np. ciekawa dyskusja, która się toczyła w pismach tutejszych ubiegłej zimy, o to czy ślizgawka jest pożyteczna, czy też szkodliwa dla kobiet i czy młode dziewczęta powinny unikać tego rodzaju zabawy, która u nas zaczęła od niejakiego czasu coraz bardziej wchodzić w modę, bez względu na płuca i wątłą budowę dziewcząt oddających się jej na mrozie i wietrze. Przeciwnicy ślizgawki utrzymywali, co już do statystyki lekarskiej należy, że ślizgawka więcej przyspożyła światu suchotników, a zwłaszcza suchotnic, niżeli karnawały, tańce i wszystkie inne tym podobne przyuczyny, zdrowie młodzieży na szwank narażając, i bogdaj czy nie mieli słuszności.

Wzmianką o „Przewodniku” wkroczyliśmy mimowolnie na pole literatury. W chwili obecnej, w porze zwanej martwą, a w powszednim narzeczku kupieckim „ogórkową” trudno o nowości na tem polu. Wydawnictwa wszystkie gromadzą się zazwyczaj pod zimę, około Nowego Roku, a dzisiaj półki księgarskie założone po większej części plonem dawniejszym. Wszelako najruchliwsza z tutejszych księgarnia Gubrynowicza i Schmidta może się pochlubić kilku wydawnictwami, których wartość nie oblicza się na okres kilku miesięcy, lecz pozostaje trwała w skarbcu literatury. Do tych należy przede wszystkim drugi tom *Listów Zygmunta Krasńskiego*, zawierający korespondencję z Sołtanem, blizkim krewnym poety, z którym go, oprócz pokrewieństwa rodzinnego, łączyła przyjaźń serdeczna i pokrewieństwo ducha. Pisma warszawskie podały już obszernie o książce tej sprawozdania; lecz należy ona do rzędu tych, których treść nie daje się objąć sprawozdaniem, którą, aby należycie ocenić, potrzeba całą przeczytać—zawiera ona bowiem kalejdoskop myśli, wrażeń, poglądów, zdań krytycznych i uwag, tak częstokroć ciekawych i ważnych w najdrobniejszych odcieniach, iż niepodobna prawie wyczerpującej zdać o nich sprawę. Listy Zygmunta Krasńskiego przedstawiają nam obraz duszy poety, wrażliwej niezmiernie, skłonnej do mistycyzmu, idealnie szlachetnej, we wszystkich uczuciach, poglądach, i w całym swym usposobieniu, zawsze z podniosłego stanowiska obejmującej świat myśli i tok wypadków rzeczywistych. Ztąd-to listy te, będące zbiorem zwierzeń poufnych, spowiedzią odsłaniającą całą niejako organizację wewnętrzną wielkiego umysłu, są niezmiernie zajmujące, pomimo powtarzających się często drobiazgowych szczegółów o stanie zdrowia i innych tym podobnych wzmianek, przeplatających korespondencję. Po przeczytaniu jej jest się jakby upojonym tą atmosferą podniosłą, szlachetną, wzniosłego nastroju, którą się podczas czytania oddychało, a niejedna myśl mimochodem potracona, wywołuje szereg uwag, dotyczących najważniejszych zagadnień życia.

Na polu beletrystycznym zajmującym zjawiskiem są *Nowe opowiadania P. Wita Narwoja*, przez Wł. Łozińskiego. Autor przed laty dziesięciu dał się zaszczytnie poznać na polu powieściopisarstwie kilku rzetelnej wartości literackiej utworami, zaczerpniętymi z końca XVIII wieku, pomiędzy którymi był także szereg obrazków, malujących społeczeństwo ówczesne pod tytułem *Opowiadania Wita Narwoja*, iż mnogie przygody swe doznane na żołnierskiej służbie za granicą i we własnym rodzinnym kraju opowiadał swym wnukom, rozpamiętując czasy i przygody młodości. Przyjęta przez autora forma luźnych, niewiązanych się z sobą obrazków, czyli pogawędek starca, wybornie nadawała się do przedsięwziętego zamiaru uwydatnienia niektórych wybitniejszych chara-

akterystycznych rysów społeczeństwa i obyczaju zeszłego wieku w Polsce. Łoziński, objawiając przed laty dziesięciu redakcją „Gazety Lwowskiej” obarczony pracą redaktorską, zaniechał powieściopisarstwa, do którego obecnie, po usunięciu się od redakcji gazety, znów powraca, jak świadczą niniejsze *Nowe opowiadania Narwoja*. Wiek XVIII mianowicie ostatnie jego lat dziesiątki dostarczają niezmiernie bogatego materiału dla powieściopisarza. Żadne może społeczeństwo nie uległo w tak krótkim stosunkowo przeciągu czasu tak zupełnemu przeobrażeniu, jak nasze w tej właśnie porze. Fiziognomia jego na całym obszarze myśli, uczuć, usposobień i obyczaju, przedstawia się dziś zupełnie inaczej, nie mając w sobie nic a nic z tego czem się w zeszłym stuleciu głównie znamionowała. Ztąd też wiek XVIII w Polsce jest niewyczerpane obfitości źródłem dla pisarzy, umiających wysledzić i wskazać w swych utworach ów świat tak zupełnie odmienny od dzisiejszego, a zarazem wykazać wpływy pod których różnorodnymi prądami przeobrażenie to się dokonało. Zadaniu temu odpowiadają we właściwym sobie zakresie tak dawniejsze jak i nowe opowiadania Narwoja. Czytają się one z zajęciem i przypominają poniekąd „pamiętki Soplicy.” Jest w nich doskonała znajomość społeczeństwa, z którego wzięta treść opowieści, jest kolorysty żywy i naturalny, tudzież wyborny język, wystudyowany z pism i pamiętników społecznych. Oprócz talentu powieściopisarzskiego—poznać w opowiadaniach Łozińskiego wytrawne pióro, znające doskonale technikę pisarską i artystyczne warunki dobrej kompozycji.

Zajmujący się gorliwie badaniami archologicznymi na polu historii sztuki autor wielu cennych rozpraw i monografii w tym przedmiocie p. Julian Kołaczkowski wydał obecnie nową podobnego rodzaju pracę *O architekturach i budownictwach w dawnej Polsce*. Rozprawą niniejszą, opracowaną starannie na podstawie poszukiwań źródłowych, kronikarskich i archiwalnych, postanowił autor klam zadać twierdzeniom, powtarzanym przez cudzoziemców nawet w dziełach, którym nie można złożyć wysokiej naukowej zaprzeczyci powagi, jakoby—Polska nie posiadała nigdy ani budowniczych ani rzeźbiarzy własnych, lecz zasilala się tylko talentami i pracą obcych z zagranicy przybywających lub umyślnie sprowadzonych budowniczych i artystów. Aby odeprzeć powyższe twierdzenie, będące owocem zarozumiałości i pyszałkowstwa nieprzychylnych nam przeciwników, chcących siebie kosztem naszym podwyższyć, kreśli p. Kołaczkowski w pierwszej części swej pracy w treściwym zarysie dzieje budownictwa w Polsce, poczynając od najdawniejszych pogańskich jeszcze czasów, pilnie kronikarskie o nich zestawiając wzmianki, aż do chwili społecznej, wyliczając kościoły, zamki, ratusze i tym podobne główniejsze budowle, wykazując zarazem przeobrażenia stylu architektonicznego u nas w rozmaitych epokach. Następnie podaje bardzo starannie i o ile możliwości dokładnie zestawiany spis architektów Polaków od najdawniejszych do najnowszych czasów, z treścią o dziełach i życiu każdego wzmianką, a dla uzupełnienia wlicza w trzeciej części budowniczych cudzoziemców, różnemi czasami w Polsce przebywających. Na cześć przechwałki tych, którzyby nas pragnęli pozbawić wszelkiej zasługi w postępie cywilizacyjnym, rozprawa p. Kołaczkowskiego, jest na dowodach naukowych opartą—odpowiedzią i stanowi grunt pod budowę historii sztuki architektonicznej w Polsce. P. Kołaczkowski jest badaczem sumiennym i nader w przedmiocie swych poszukiwań zamiłowanym. Posiada on cenny bardzo własny zbiór rycin rzadkości starożytnych, gromadzony ze znanstwem, i godny widzenia. Poszukiwania p. Kołaczkowskiego możnaby nazwać pracami pionierskimi w dziedzinach mało znanych, których uprawa hojnie się oplaci pożytkiem naukowym.

W chwili kiedy obawa cholery wywołuje tem większą potrzebę przezorności w przestrzeganiu przepisów higienicznych, bardzo w porę pojawia się rozprawa dra. Wojciecha Urbańskiego, *O zależności zdrowia naszego od wpływów powietrza*. Znany autor *Fizyki umiejętnej* i innych na tem

polu rozlicznych dzieł i rozpraw, przedsięwziął w broszurze niniejszej wyjaśnić w sposób przystępny na zasadach umietych oparty, związek powietrza atmosferycznego z światem organicznym, jego naturę i te właściwości, przez które jest ono dla człowieka albo pożytecznym pokarmem lub też staje się zabójczą trucizną, wywołującą najrozmaitsze choroby i dolegliwości, jeżeli się przepełni nieprzyjaznymi organizmowi naszemu pierwiastkami. O tych szkodliwych, przesłanujących nas na każdym kroku, żyjątkach, grzybkach, bakterjach, gnieźdzących się pasożytach w organizmie ludzkim, skoro się tam za pośrednictwem powietrza dostarczą, napisał już dawniej dr. Urbański rozprawę wyluszczającą istotę onych wszelkiego rodzaju zdrowiu ludzkiemu szkodzących wrogów, a praca obecna, chociaż stanowi sałość sama w sobie, uważaną być może jako dalszy ciąg tamtej, jako praktyczne uzupełnienie rozwiniętej tam teorii. Przy końcu streszcza autor poglądy zawarte w treści rozprawy w *Dekalogu* zawierającym dziesięcioro praktycznych przykazań zachowania zdrowia; przykazań rzeczywiście bardzo pożytecznych i skutecznych, byleśmy je tylko ściśle zachować chcieli, stosując się do słów mądrej przestrogi, którym na zawadzie stają, niestety! na każdym kroku życia powszedniego nasze ułomności i namiętności, zagłuszające częstokroć pamięć rad pożytecznych. Nie umniejsza to jednak wartości dekalogu będącego wynikiem rozprawy prof. Urbańskiego i pożyteczności przestrogi, dążących do powściągnięcia złych przyzwyczajęń i natury ludzkiej, zwłaszcza jeżeli przestrogi te są, jak w niniejszej rozprawie, uzasadnione umiejętnie na podstawie badań ściśle naukowych.

Biblioteka tutejszego uniwersytetu otrzymała bogaty dar w spadku po zmarłym świeżo proboszczu tutejszej parafii św. Marcina, śp. księdzu Formanjoszu. Uczony ten i zamilowany w literaturze kapłan, wszystkie chwile pozostające od zajęć parafialnych tudzież publicznych, w Radzie Miejskiej i Radzie Szkolnej, poświęcał ulubionej lekturze dzieł naukowych i gromadzeniu księgozbioru z namietną starannością oddając na ten cel wszystkie swe dochody. Jakoż zgromadził bibliotekę liczącą około 10,000, a co większa, zawierającą wiele dzieł drogiej znakomitej wartości naukowej i bibliograficznej nawet białe kruki tak, iż cały ten księgozbiór oceniona na blisko, 50,000 guldenów. Jest to dobry w swoim rodzaju przykład do czego doprowadzić może usilność starań człowieka prywatnego, rozumna oszczędność i zamilowanie przedmiotu za cel tych starań obranego.

Z początkiem feryi szkolnych odbył się, podobnie jak coroku, walny zjazd pedagogiczny, tym razem w Tarnowie. Na rok przyszły obrano Przemysł na miejsce zjazdu. Największą część obrad tegorocznych zajęły wnioski grona czyli *wieceu* nauczycielskiego dążące do polepszenia bytu nauczycielstwa krajowego, poddane pod obrady Zjazdu. Z tych zaś najgorętszą rozprawę wywołały wnioski dotyczące ściśnienia zakresu nauczycielskiego kobiet w szkołach ludowych i wydziałowych. Żądał mianowicie projekt wiecu wykluczenia zupełnego nauczycielek od posad w ludowych szkołach *męzkich*, tudzież w szkołach wydziałowych *wyższych* żeńskich, w których poczynając od piątej klasy, według wniosków projektem objętych, kierownictwo i wykład nauk miałyby być wyłącznie oddane nauczycielom. Zarliwa dyskusja, jaka się w tym przedmiocie rozwinęła, przykre wogóle sprawy musiała wrażliwość, że nie kierowały nią, jakby należało, względy pedagogiczne, ale po większej części względy materialne, powiedziałbym: zawiść chlebową, upatrującą samolubne korzyści w usunięciu jak największej liczby nauczycielek od zajmowanych przez nie, na mocy obecnie obowiązującej organizacji szkół, posad nauczycielskich, dla ustąpienia miejsca nauczycielom. Dobitnie wyraził to prof. Benoni, przemawiający w obronie praw nauczycielek, gdy powiedział, „że straszny jest widok głodnego, pasującego się z głodem, ale straszniejszy, gdy głodny głodnemu ostatni kęs chleba wydziera”. I w samej rzeczy, nauczycielstwa całego w Galicyi, nie można trafniej przyrównać niż do

mrącego głodem człowieka, mającego za mało pożywienia, aby żyć; za wiele, aby umrzeć. Położenie zaś kobiet jest znacznie jeszcze gorsze pod tym względem, bo i place znacznie wogóle niższe i stanowisko, mianowicie po wsiach, gdzie najczęściej nauczycielka znajduje się osamotnioną, bez rodziny i jakiegokolwiek punktu oparcia, owiele jest trudniejsze. Ze stanowiska pedagogicznego wymownie i przekonująco bronili na zjeździe tarnowskim zadania nauczycielki w szkole prof. Starzecki, tudzież pani Ścisławska, nauczycielka z Tarnowa. Pierwszy wykazał, jak dobroczynnym jest wpływ nauczycielski kobiety w niższej szkole ludowej, gdzie wrodzona, macierzyńska niejako, łagodność i troskliwość w obejściu więcej pożytecznego zdziała, niżeli surowość i szorstkie nieraz obejście się z dziatwą nauczyciela-mężczyzny. Co zaś do szkół żeńskich, to już stanowczo potępił p. Starzecki poruczenie mężczyznom ich kierownictwa, z wielu względów przezeń przytoczonych, a wreszcie choćby już dla samych robót ręcznych kobiecych, ważną w szkołach żeńskich odgrywających rolę, które bez nauczycielki kobiety obejść się nie mogą. Podniósł też i tę okoliczność, że wykształcenie nauczyciela nie ustępuje bynajmniej wykształceniu nauczycieli ludowych, gdyż nietylko, że kobiety bywają w naukach pilniejsze od mężczyzn; ale nadto kurs nauk w seminaryum pedagogicznem żeńskim obejmuje lat cztery, podczas, gdy nauka w seminaryach pedagogicznych męskich zawiera się w szczuplejszym zakresie lat trzech. Energetycznie jeszcze i bardzo wymownie przeciw wykluczeniu nauczycielek przemawiała p. Ścisławska. Porywnyując wpływ nauczycielki w szkole z opieką macierzyńską, wskazała, ona, jak nieszcześliwe są dzieci opieki tej pozbawione. Pięknie skreśliła przeznaczenie kobiety i jej wysoki wpływ na wychowanie, stanowczo sprzeciwiając się temu, aby mężczyźni byli nauczycielami i kierownikami szkół żeńskich. Wywody te przekonały wreszcie większość, tak, iż nawet sam referent i obrońca wniosku wykluczającego kobiety od nauczycielstwa w szkołach niższych męskich i wyższych żeńskich, przyznał słuszość stronie przeciwnej, poczem i uchwała zgromadzenia zapadła przeciw wnioskowi. Tak tedy pomyślnie załatwiono sprawę niepotrzebnie wywołaną, która sprawiła wiele rozgoryczenia w zgromadzeniu, a gdyby była załatwiona w myśl upadłego wniosku, byłaby pozostała smutnem świadectwem, że w łonie naszego Towarzystwa Pedagogicznego, zamiast łączności dążącej do podźwignienia oświaty powszechnej i polepszenia bytu całego bez wyjątku stanu nauczycielskiego wogóle, górę biorą stronnice i samolubne zachcianki poprawy losu jednych kosztem drugich, na temżesamem polu równie gorliwie pracujących i równie zasłużonych. Uchwała w podobnym powzięta duchu byłaby pozostała ciemnym punktem w dziejach naszego Towarzystwa Pedagogicznego, zajmującego dotychczas chlubne pod każdym względem stanowisko.

Już to od niejakiego czasu spostrzegać się u nas daje w pewnych sferach opozycja przeciwna temu wszystkiemu cokolwiek dąży ku podniesieniu wykształcenia kobiecego na szerszą skalę. Opozycyoniści obawiają się *hyperprodukcji inteligencji* pomiędzy kobietami, który-to wyraz staje się u nas utartym straszakiem, mającym dowodzić szkodliwych skutków nauki. Zwolennicy jego obawiają się, że uczęszczanie do szkoły odwróci większą część kobiet naszych od zajęć praktycznych, dających zarobek i utrzymanie, a natomiast wytworzy z czasem obóz malkontentek, bez sposobu do życia, albowiem wykształcenie szkolne nie da im utrzymania, a że bez

nauki nie tylko obejść się można, ale nawet przyjść do pięknego nieraz mająteczku, na to najczęściej siebie samych na przykład przytaczają, ci zawzięci wszelkich szkół, antagoniści; zwłaszcza tam, gdzie się do nich własnym potrzeba przyczynić groszem. Nie będziemy tu rozpoczynać walki w tym przedmiocie. Wspominam tylko o tem, ażeby dać miarę, na jakie trudności natrafiają częstokroć jeszcze u nas starania dążące ku podźwignieniu i rozpowszechnieniu oświaty. I tak rada miejska tutejsza uchwaliła jeszcze w zimie po wielu sporach i rozprawach, utworzenie kosztem miasta wyższej szkoły żeńskiej, niezbędnej potrzebnej w stolicy kraju, gdzie koncentrują się najrozmaitsze stosunki, stykają się z sobą wszystkie warstwy społeczne, z kąd zatem powinny się rozchodzić promienie światła przenikające wszystkie młodego pokolenia sfery. Nieprzejednani nieprzyjaciela szkoły i nauki teoretycznej, widząc, że pomimo zawziętej opozycji przeciw założeniu nowej szkoły żeńskiej, pozostali w Radzie Miejskiej w mniejszości i utworzenie szkoły uchwalono, uciekli się do wybiegu dyplomatycznego, a raczej sztuczki parlamentarnej, aby zneutralizować, na jakiś czas przynajmniej, niemila im uchwałę. I oto gdy przyszło do uchwalenia planu organizacyjnego szkoły zamierzonej, ilekroć przedmiot ten umieszczony był na porządku dziennym obrad Rady Miejskiej, opozycyoniści nie przychodzili wcale na posiedzenie, przez co z braku kompletu musiano sprawę raz po raz odraçać, aż wreszcie gdy ją załatwiono, była pora już tak spóźniona, iż niepodobna było myśleć o wprowadzeniu w życie szkoły z rozpoczęciem zbliżającego się roku szkolnego. Dopiero więc za rok przyjdzie do skutku uchwalona szkoła. Opozycyoniści tryumfują, a kto się chce uczyć niech rok poczeka.

Włodysław Zawadzki.

DROBNE LISTKI.

— **Dziewięcioletni samobójca.** Znajdujemy w *Timesie* wiadomość, o jednym z tych faktów niezwykłych, z zakresu życia moralnego, które w umysłach oddanych dla ludzkości, obudzają troskę i trwogę: czy naprawdę wszystko jest dobrem w cywilizacji dzisiejszej i czy pod jej naciskiem w naturze ludzkiej nie utrwalają się zwolna skłonności zdrożne, jakich wieki dawniejsze nie znały? Oto znowu samobójstwo — dziewięcioletniego, ledwo od ziemi odrosłego, dziecka. W Blackburn w Anglii, powiesił się chłopiec, któremu utrzymujący szkołę zagroził był surową karą wrazie, gdyby się jeszcze pokazał bez zaległej opłaty tygodniowej za naukę. Ojciec nie miał co dać i powiedział chłopcu: Idź. — Chłopiec poszedł — a drząc przed karą, nie wstąpił nawet do szkoły i samobójstwem uwolnił się od przewidywanego cierpienia — a może i przewidywanej hańby. Niewątpliwie nie był to zwykły tchórz, nie była pospolita natura: tem więc przykrejsze wrażenie sprawia smutny ten wypadek. Winni są niewątpliwie rodzice, winien ojciec, że zamiast dziecko na niepewny los wysłać, sam go nie doprowadził i nie wytworzył mu jasnego położenia; winien nauczyciel, że groźby używał względem dziecka, kiedy mógł ją zastosować tylko względem rodziców; winne wreszcie społeczeństwo, że stawia biedne dzieci w takim bolesnem przeciwieństwie ze światem, że je puszcza samopas, że biednym rodzicom nie zapewnia darmo tego, co oni sami tylko z odjęciem strawy od ust, z osta-

tniem poświęceniem dzieciom swoim dać-by mogli. Każde dziecko w gminie, jeżeli rodzice jego nie mają pewnego *minimum* zamożności, powinno mieć zapewnioną naukę bezpłatną. Światło początkowe jest jak powietrze, i każdy jak powietrza dopominać się go może.

— W Atenach zmarła parę tygodni temu **Carla Serena**, sławna podróżniczka i podróżopisarka, znana i w Warszawie, w której w r. 1880 przez kilka dni gościła. Urodzona w Wenecji, Serena wyszła w Londynie bogato zamąż, a przy zamieszkowaniu do podróży w 1874 roku udała się na Wschód aż do Egiptu, zwiedziła go i opisała; później ze Stambułu pojechała na Kaukaz, aby poznać piękność kobiet gruzińskich. Żyła z ludem tamtejszym; podejmowana gościnnie, nie mogła się odchwalić jego prostoty i świeżości obyczajów. Wspaniałe krajobrazy Kaukazu pobudziły jej wyobraźnię do znakomitych obrazów, kreślonych piórem dla dzienników paryżkich i londyńskich. Wielki wdzięk tych listów z podróży zwrócił na nią uwagę świata czytającego na Zachodzie, tak, iż zaczęto ją tłómaczyć na obce języki. Gdy nadeszła wojna turecka 1877 r., Serena znalazła sposobność do patrzenia na nią zblizka, a sprawozdania przesyłane do Europy, sprowadziły na podróżniczkę internowanie do Baku. Dla poratowania zdrowia nakazali jej lekarze tamtejsi jechać do Teheranu. Po uciążliwej drodze stanęła Serena w stolicy Persyi; w r. 1878 poznała kraj i ludzi i opis ich w osobnej książce angielskiej zawarła. Na tych wszystkich podróżach zbiegły jej cztery lata. Kiedy wróciła do kraju, ostatnie swe opowiadanie zamknęła radą do kobiet w ogóle: — „Nie podróżujcie, siedźcie w domu, w domu tylko dobrze kobiecie“. Sama jednak rady tej nie usłuchała i zmarła daleko od domu — na obczyźnie.

OSTATNI TOM

to jest IV-ty dzieła pod tytułem :

ROZRYWKI DLA MŁODOCIANEGO WIEKU

PRZEZ

SEW. PRUSZAKOWĄ (DUCHIŃSKĄ)

Wyszedł z druku

Prenumerotorowie „Bluszczu“ tom I-szy otrzymali w kwartale I-ym **bezpłatnie**; — Cena każdego z następnych tomów w Warszawie kopiejek 50, z przesyłką kopiejek 60,

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumerotorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 4-ty powieści pod tyt.: **Dwie**.

TREŚĆ. Kobiety nasze wobec pedagogiki, przez Floryana Łagowskiego. — *Któs*, powieść (dokończenie), przez J. I. Kraszewskiego. — *Listy z Magdeburga III*, J. I. Kraszewskiego. — *Romantyzm we Francyi*, (dokończenie), przez Edwarda Lubowskiego. — *Korrespondencya zagraniczna*, Lwów, (dokończenie). — *Drobne listki*.

Dodatek obejmuje: 4-ty arkusz powieści p. t.: *Dwie*, przez M. Georgianę Craik. — Opis rycin z 23 rysunkami. — *Sekrety gospodarskie*. — *Dyspozycyą stołu*.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 29 Августа 1884 года.